

TRÓJCESARSKIE SAMOBÓJSTWO W krainie feaków.

Dziesięciolecie wojny światowej przywodzi nam na pamięć obraz przedwojennej Europy, w której panowały resztki absolutyzmu monarchicznego wcielone w trzy gmachy państwowe pod tytułem ostatnich cesarzy. Te faktyczne resztki uchodziły w ówczesnej opinii za wielką potęgę, której sędzono trwać długie lata, a może przeżyć i oglądać anarchię i upadek zachodnich rządów parlamentarnych. W ciągu ostatnich dziesięcioleci przed wojną, w okresie niewątpliwej reakcji wielkie potęgi cesarskie wywierały na mieszczańską opinię Europy pewien rodzaj bezkrytycznego uroku, który dzisiaj wydaje się nam prawie niezrozumiałym. U nas koła społeczne, tworzące dzisiejszą prawicę, w ogromnej swej większości były przekonane, że jedynie w tych mocarstwach zachował się autorytet władzy „silny rząd”, bez którego niema porządku państwowego. Związki do stopnia dogmatu zostało podniesione zgoda fałszywe i niedorzeczne twierdzenie, jakoby tylko monarchia była do prowadzenia polityki zagranicznej, której kombinacja i wymagania przekraczają komo sferę pojmowania tuż dyscypliny polityczną demokracji.

Wbrew powyższemu zdaniu nie potężne monarchie — o zderzenie z wymaganiami przekraczającymi nie warto — okazały zanik myślenia politycznego, taką lekkomyślność i ślepotę, że po tych wymownych przykładach trudno chyba odnawiać cesarską lub królewską legendę. Najwidoczniejszy interes monarchizmu obok innych względów nakazywał Niemcom i Rosji utrzymać wzajemne porozumienie, nie zachodziły pomiędzy nimi żadne zapalne antagonizmy, a jednak obie te ostoje cesarskości, związane w dodatku wspólnictwem rozbiorem i mające jaknajwiększą rację unikania ostrych sporów, dały hasło do wojny światowej. Oczywiście na politykę, która doprowadziła do tego paradoksalnego wyniku, wywarły wpływ stanowczy osobistości obu cesarzy, z których każdy był w swoim rodzaju karykaturą monarchii.

Kajzer Wilhelm, już jako następcę tronu był zdecydowanym zwolennikiem sojuszu z carską Rosją więcej może z motywów polityki wewnętrznej niż zagranicznej. Usłużność swą w stosunku do Aleksandra III-go posuwał tak daleko, że denuncjował przed nim własnego ojca Fryderyka III, jako niedostatecznego rusofila. A jednak nie kto inny jak właśnie

ów zwolennik i wielbiciel caratu wzbudził przeciw sobie w Rosji ogólną niechęć i nieufność, zasiał w niej ziarno przyszłej wojny. Jego zygawkowata, pozbawiona wszelkiej konsekwencji polityka, budziła podejrliwość i obawę, jego natręctwo, niesłychana zarozumiałość i niesmaczne wybryki jaknajgorzej usposabiali w Petersburgu tych nawet, którzy pragnęli zbliżenia z Niemcami (np. Wittego). Mikołaj II uważał Wilhelma za blagiera i szarlatana i tak go określał w poufnych rozmowach z dyplomatai ententy.

Oczywiście on sam nie był ani na jotę lepszy, chociaż należał do innego rodzaju monarchicznych degeneratów. Ta marna pod każdym względem osobistość, której pamiętnik świadczy o zupełnej niemości moralnej i umysłowej, od początku panowania nadstawiała chętnie ucha faworytom podsuwającym jej zaborcze i agresywne projekty. Po haniebnej klęsce na Dalekim Wschodzie Mikołaj II marzył o tem, jakby się „odegrać”, a współcześnie reakcyjna burokracja świadomie rozbudzała nacjonalistyczną orgię, jako wypróbowany środek przeciw opozycji i dążnościom wolnościowym. Zaś rozpętany nacjonalizm nie zatrzymywał się w ramach wewnętrznego użytku, lecz zwracał zaborczy wzrok Rosji ku tradycyjnym obiektom jej chciwości, ku Konstantynopolowi z cieśninami, ku Galicji i słowianom monarchii habsburskiej.

Rozumnijsi reakcyjniści, w guście byłego ministra Durnowa, zdając sobie sprawę z ciężkich niedomagań Rosji, usilnie ostrzegali cara przed szukaniem awantur wojennych. Ale konjunktura międzynarodowa przedstawiała się dla Rosji tak korzystnie, tak obiecująco, że car nie mógł się oprzeć pokusie...

Jakkolwiek wojna wybuchła wśród trójcy cesarskiej a car Mikołaj znalazł się (risum tencatis!) w obozie „wolności europejskiej”, wszelakoć dobry genjusz historii wyprostował jej linie, potwornie wykrzywioną przez urzędową dyplomację. Wojna w dalszym przebiegu zmieniła charakter i skończyła się tak, jakgdyby trzy cesarstwa toczyły bój stanowiący z parlamentarnym i republikańskim światem i w walce tej zostały rozgromione.

Wschodnia fala krzepnącego absolutyzmu wykopała Polsce w drugiej połowie 18-go wieku grób, zwycięska fala zachodnia przyniosła jej za czasów naszych wolność.

J. Mazurski.

Tajemnicze „próby” wybuchowe w Łochowie.

Sprawa nagle jakoś przycichła.

W czasie pobytu prezydenta Wojciechowskiego w powiecie Wągrowskim w maju r. b. żołnierze z oddziału ochrony linii aresztowali na stacji Łochów 28-letniego Teodora Ossowskiego. Aresztowanie nastąpiło skutkiem tego, że w Ossowskim żołnierze poznali tego osobnika, który w dzień przejazdu przez stację Łochów pociągu pana prezydenta, w pobliżu linii kolejowej rozpakowywał jakąś paczkę, a następnie jakiś przedmiot wdeptywał w ziemię, tuż obok toru.

Podczas rewizji u Ossowskiego znaleziono w kieszeni jego palta lont w krawku 1 i pół metra długi, w kieszeniach zaś spodni znajdowało się 5 paczek piroksyliny, wagi przeszło kilowej, w kamizelce zaś znaleziono trzy zapalniki oraz odręczny szkic okolic Łochowa.

Teodor Ossowski, z zawodu petardzista, pracujący w pomorskiej dystryktach drzewa w Czersku, przybył do Łochowa dnia 22 maja, a więc w parę dni przed przybyciem na tę stację pociągu p. prezydenta. Zamieszkał u leśniczego Kutnickiego. Obowiązku meldowania się u władz nie wypełnił.

Równocześnie z Ossowskim zatrzymano inżyniera d-ra Goldschmidta, b. oficera niemieckiego, obywatela miasta Gdańska, właściciela wspomnianej dystrykt drzewa. Goldschmidt twierdził, że

przybył wraz z Ossowskim do Łochowa

celem wypróbowania wartości materiałów wybuchowych, służących do podważania pańsków.

Obu odstawiono do dyspozycji sędziego śledczego w Wągrowie.

Tajemniczość całej sprawy powiększa jeszcze ta okoliczność, że firma „Górnosłaska fabryka materiałów wybuchowych Bradet” — wysłała w tymże mniej więcej czasie pod adresem inż. Goldschmidta cztery wagony piroksyliny, kierując transport do stacji Łochów.

Tymczasem okazało się, że transport ten do tej miejscowości nie dotarł, że gdzieś w niewyjaśniony sposób po drodze zaginął.

Na ślady jego natrafiła policja w administracji dóbr łochowskich, gdzie znaleziono tylko cztery skrzynie piroksyliny, wagi około 100 kilo!

Z chwilą zwolnienia aresztowanych cała sprawa przycichła — w sposób budzący obawy. Manipulacja Ossowskiego z materiałem wybuchowym w pobliżu toru w dzień przejazdu prezydenta, a przede wszystkim fakt zamówienia i zniknięcia tak olbrzymiej ilości materiału wybuchowego,

są to kwestie słusznie niepokojące opinię publiczną.

Wracałem z Patrasu. Ku mojemu zdziwieniu nie znalazłem w porcie ani jednego z sympatycznych statków Lloyd Triestino, gdyż jak się okazało przesmyk ko ryneci zmienił koryto, a wielkie statki czyniły duży zakręt i okrażały Matafan. Było już koło północy.

Na wodzie było ciemno i dziwnie samotnie. Małe światła żaglowców tonęły w krótkich falach a gwiazdy mrugały samotnie i tajemniczo.

Sunąłem na łodzi pełnej wrzaskliwych greków i miałem ruszyć w drogę na starym rozstrzęsionym statku greckim.

To była nielada perspektywa! Ale cóż miałem uczynić skoro nie było innej rady!

Mój statek ruszył i w tejże chwili poczułem, że dzieją się ze mną jakieś niezwykle rzeczy.

O takim trzęsieniu i kołysaniu nie ma pojęcia żaden podróżnik nowoczesny.

Co za piekło.

Udałem się do kabiny i tam starałem się oszukać bogów morskich śpiąc spokojnie na mem posłaniu.

Nagle usłyszałem wykrzyknik: — Itaka!

Czy mogłem dłużej pozostawać w dusznej i samotnej kabine? Nie. Skoczyłem też na równe nogi i rzuciłem się na pokład. Nareszcie udało mi się stanąć u barjery.

Itaka!

Ile słodkich wspomnień wiąże się z tem imieniem!

Ile braterskiej piękności związane jest z tem imieniem!

Cały czar Grecji powstaje przed oczami olśnionego podróżnika, gdy tymczasem współpodróżni greckiego pochodzenia patrzą na zachwyty ten i olśnienie mocno przymrużonem okiem i drwią sobie zupełnie otwarcie.

Itaka!

Czem dla nich jest Itaka?

Ani wspomnieniem [Grecy nie cenią wspomnień swej bohaterstwa przeszłości] ani też miejscowości, z którą możnaby łączyć...

Czemże więc jest dla nich Itaka? Pustym dźwiękiem!

Prawde powiedziawszy, to uczucie nie są zupełnie pewni, czy wyspa, która obecnie nosi nazwę Itaki jest byłym królestwem Odyseusza. Niekiedy utrzymują, że panował on na wyspie Lenkas, której wspaniałe zarwy powstały przed moimi oczyma z fali morskiej.

Ale wszelkie spory na ten temat są obecnie już dosyć przestarzałe i zbędne.

Natomiast nie ulega kwestii, że Korfu to wyspa feaków! I pomimo wszelkich perswazji uczonych, którzy i w tym wypadku opierają się przy innych wyspach, ja pozostaję przy Korfu.

Tylko na Korfu, w tym rajzie ziemskim mógł mieszkać ów legendarny lud, który pozostawił tyle pięknych wspomnień i świetnych pamiątek.

Trudno sobie wyobrazić jak piękne są zarysy tej wyspy. Występuje ona z morza jak cud jakiś, jak urzeczywistnione marzenie wielu ludzkich pokoleń, jak wizja niedosięgłej piękności.

Wzgórza i łąki, lasy i budowle wybrzeża i port tworzą tak wspaniałą symfonię barw i zarysów, że olśniony przybysz patrzy i nie wie rzy własnym oczom.

Opuściłem mój statek i udałem się na brzeg.

Miasto otwarło się przedemną jak szereg artystycznie pomysłanych kulis niezrównanej piękności. Wyobraźnia ludzka nie umiałaby wcale stworzyć podobnych cudów.

I rzecz dziwna, obojętność mieszkańców zupełnie nie psuje wrażenia.

Wąskie ulice zabudowane są masywnymi domami a heleńskiego ducha ni śladu.

Greckie wpływy wygasły w zamierzchłej przeszłości i zniweczone przez najazd turecki, nie mogły się ostać. Zastąpiła je włoska kultura, która po dzień dzisiejszy panuje na wyspie, jakkolwiek korfoci nie cierpią włosów i akcentują to przy każdej okazji.

Nie można im się zresztą zbyt dziwić. Zeszłoroczne umiętła-

szystowskie, które odbywały się przy pomocy karabinów maszynowych i granatów. Dla tego rodzaju form międzynarodowego obcowania wyspiarze, jak się okazuje, nie żywią zbytnej sympatii.

Wyobrażam sobie, że starożytni feakowie byli zupełnie tak samo usposobieni.

Piękna, doskonale utrzymana droga prowadzi przez góry do Achilleonu. Jest to jedyna znośna droga na całej wyspie. A prowadzi przez tak czarodziejskie zakątki, że przeciętnemu europejczykowi trudno jest utrzymać duchową równowagę.

Przez cały szereg ogrodów, posypanych swe wonne tchnienie ku lazurowym niebiosom, idziesz czytelniku wraz ze mną do ślicznej wioski, zwanej Gastwi.

Tu już zdaleka widać lśniącą białą fasadę Achilleonu. W ostatnich czasach mówiło się bardzo

wiele o zaniedbaniu tej pięknej budowli. Jest w tem wiele przesady. Oczywiście ogrody Achilleonu nie są już tem, czem były gągi, gdy cesarski ich władca dbał o każde drzewo.

Ale pomimo to całość jest jeszcze tak wspaniała i urocza, że trudno oderwać oczy. Ogrody Achilleonu ciągną się na kilka kilometrów przecięte po kilka razy przez srebrne strumyki i sztuczne jeziora.

Powrót z tej zaczarowanej krainy jest dosyć trudny, gdyż nie ma tu mowy o żadnych środkach lokomocji.

Nawet skromnego osiołka trzeba szukać daleko po okolicznych wioskach.

Pomimo to byłem szczęśliwy. Zwiedziłem najpiękniejszy zakątek świata.

Czyż to nie dosyć?

Maks Osborn.

NOWA GWINEA.

Kraj złota i ludożerców.

W seminarjum języków wschodnich przy uniwersytecie berlińskim wygłosił ciekawy odczyt o Nowej Gwinei radca archiwalny dr. Detzner. Pojechał on na Nową Gwineę krótko przed wybuchem wojny i zmuszony był pozostać tam aż do jej końca, a więc pięć lat. Oczywiście tak długi pobyt umożliwił mu udokładne zbadanie tej wyspy.

Krajowcy tej wyspy są ludożercami,

lecz ludożerstwo to nie wypływa z jakiejś specjalnej dzikości czy mięszczości, lecz z motywów religijno-zabobnych.

Rocznie ginie 17 procent ludności z powodu ludożerstwa.

Poszczególne plemiona żyją w bezustannych między sobą walkach, a plemię zwyciężkie tępí całe pokolenie zwyciężonych, pozostawiając przy życiu jedynie młode dziewczynki.

Prelegent nie powiedział, jaki wpływ dodatni czy ujemny w walkach tych wywierają biali przybysze, t. j. Niemcy, ale to pewna, że interesów swoich dla ideałów ludzkości nie poświęcają. Toć skoro krajowcy wyginą, biały człowiek będzie miał kolonję.

Zdrowotność u krajowców jest zadawalniająca; epidemii żadnych tam nie znają. Tem potrzebniejsze dla „białego człowieka” są ich walki bratobójcze.

Im głębiej wnika się w głąb kraju, tem gęstsze zaludnienie. Niezwykle znaczenie dla przyszłego

rozwoju ekonomicznego kraju są siły wodne, znajdujące się tam obficie. Z dziedziny kruszców wymienić należy złoto, które znajduje się tam w ilościach dość poważnych, również osmiridium, metal, dawniej przez poszukiwaczy złota odrzucany, dzisiaj w wartości przekraczający pięciokrotnie wartość złota. Wreszcie i platyna jest w Nowej Gwinei; zatem trzy owe kruszce, najdroższe na świecie, decydują o przyszłości tej wyspy.

Prócz tego są wyraźne poszlaki istnienia wielkiej ilości olei skalnych.

Obecnie głównym przedmiotem zbytu w Nowej Gwinei jest produkt palmy kokosowej, zwany kopra. Warunki klimatu i ziemi wskazuja jednak, że trzcina cukrowa mogłaby tam doskonale prosperować i stać się jednym z najważniejszych źródeł bogactwa krajowego.

Nowa Gwinea, wyspa oddzielona od Australji, jest niebezpieczna dla żeglarzy cieśniną Torresa, należała przed wojną w części do Niemiec. Część niemiecka nazywała się Kaiser Wilhelm Land i łącznie z sąsiednim archipelagiem Bismarka, obszarem równała się mniej więcej obszarowi Niemiec europejskich. Na mocy traktatu wersalskiego, Niemcy zrzekły się terytoriów pozaeuropejskich, straciły Nową Gwineę, — jednak nie straciły zainteresowania dla tej ziemi i wyjazd do niej się nie zmniejszył.

Plemię beduinów, które chce przejść na judaizm.

Szeikowie plemienia beduińskiego „Arab el Simalni” zwrócili się do rządu palestyńskiego o poparcie u rabinatu palestyńskiego w sprawie przyjęcia tego plemienia na łono judaizmu.

Szeikowie dowodzą, że plemię ich jest w posiadaniu dowodów pisemnych, że pochodzi ono z prostej linii od tych żydów, którzy pozostali w Palestynie po upadku państwa żydowskiego.

Zgłoszenie tego podania poprzedziły rokowania z 25 szeikami, zainteresowanych plemion beduińskich.

Plemiona te zamieszkują Galileę Górą i półwysp Synaj. Sprawa pochodzenia tych plemion zajmowali się w ostatnich latach orientaliści i etnografowie.

Niekiedy z nich doszli do przekonania, że

wspomniane plemię beduinów wie dzie swój ród od żydów, którzy pozostali w Palestynie po upadku samodzielnego państwa żydowskiego. Pod rządami Omara żydzi ci przyjęli pod przymusem mahometanizm.

Plemię „Arab el Simalni” uprawia rolę i hodowlę bydła, utrzymuje żywy kontakt z napływającymi do Palestyny kolonistami żydowskimi. Beduini z tego plemienia obok kultu mahometanistycznego, zachowali pewne obyczaje żydów z odległej epoki ich samodzielnosci.

WYNIKI TURNIEJU SZACHOWEGO NA OLIMPIADZIE.

1-sze miejsce zdobyła Czechosłowacja uzyskawszy 31 punktów, 2-gie miejsce Węgry 30 punktów, 3 miejsce Szwajcaria 29 p., 4 m. Łotwa — 27 i pół p., 5 m. Argentyna 27 i pół p., 6 m. Włochy 26 i pół p., 7 m. Polska 25 i pół p., 8 m. Francja 25 i pół p., 9 m. Belgia 24 p., 10 m. Hiszpania 19 p., 11 m. Holandia 18 i pół p., 12 m. Rumunia 18 p., 13 m. Finlandia 15 p., 14 m. Anglia 12 i pół p., 15 m. Irlandia 5 i pół p., 16 m. Kanada 5 p., 17 a. Jugosławia 2 i pół punkta.

Polska była reprezentowana przez 4 graczy, z których p. Danuśzewski delegat Łodzi zdobył 7 i pół partii, p. Kon. delegat Warszawy, zdobył 6 partii, Pilz del. z Warszawy, 6 partii, Kleczyński, del. Warszawy, 6 partii, razem 25 i pół.

WPLAW PRZEZ LA MANCHE.

PARYŻ, 26 lipca. (Tel. wł.). — Pływaczka francuska, Jeanne Sion popłynęła od brzegów Francji ku wybrzeżom Anglii. Wiadomości dalszych tymczasem niema.

LOT PRZEZ ATLANTYK.

RZYM, 26 lipca. (Tel. wł.). Lotnik włoski Locatelli wyrusza z Pizy do lotu via Islandja przez Atlantyk do Ameryki Północnej.

NIESŁYCHANE UPALY W ALGERZIE.

PARYŻ, 28 lipca. (Tel. wł.). — Donoszą z Algieru, iż szalony upał trwający 48 godzin zniszczył całkowicie plony na polach. Temperatura dochodziła do 65 stopni.

CO DZIEŃ NIESIE?

LIPIEC

29

Wtorek

Dziś: Marty P.
Jutro: Rufina, Aldona.Wschód s. o g. 3.52
Zachód s. o g. 7.51
Wschód ks. 2.42 p.
Zachód ks. 5.41 p.
Dług, dnia 15.03.9 m.
Ubyło dnia 1.03.9 m.**Biblioteka Publiczna**, ul. Andrzeja 14. Otwarta w dni powszednie od godz. 3 — 9 wiecz.**Miejska galeria sztuki**, park im. Sienkiewicza wystawa malarstwa, rzeźby, grafiki i zdobnictwa polskiego, otwarta od 10 r. do 8 w.**Czytelnia „Tow. przyjaciół Francji”**, ul. Piotrkowska 103, otwarta codziennie z wyjątkiem piątków od 6—8 wiecz.

Dzisiejsze widowiska.

Teatr Miejski w parku Staszica:
„Dwaj mężowie pani Marty”.**Teatr letni „Scala”** w ogródku Variete. Program nr. 4.**„Casino”**:
„Opinja i cnota”.**„Luna”**:
„Fontanna miłości”.**„Grand - Kino”**:
„Garbusek i tancerka”.**Kino w spółdz. pracown. państwowych**:
„Miłość i sprawiedliwość”.

Dwa tysiące robotników znajdzie się na bruku.

Scheibler i Grohman redukują drugą zmianę

„Głos Polski” donosił o zamierzonej masowej redukcji w zakładach Scheiblera i Grohmana i o tem, że administracja tych zakładów zwróciła się do związków robotniczych z prośbą o współdziałanie przy przeprowadzeniu tej redukcji. Związki robotnicze odpowiedziały odmownie — i słusznie.

Wówczas bowiem, gdy przemysłowcy uruchamiali drugą i trzecią zmianę żaden z nich nie zwracał się do związków robotniczych o współdziałanie.

Gdyby robotnicy przyjęli propozycję administracji firmy i związki wspólnie z nią ułożyły listę tych którzy zostaną zredukowani, naraziliby się na słuszne i uzasadnione

zarzuty wydalonych, a w dalszej konsekwencji poderwane byłoby raz na zawsze zaufanie do kierownictw związków zawodowych, tem bardziej, że jak wspomnieliśmy, związki nie współdziałały przy przeuruchomieniu fabryk i od siebie nie ostrzegaly robotników przed niebezpieczeństwem masowej imigracji do Łodzi. Niechaj administracja fabryk same piją piwo, które warzyły w okresie szaleństw koniunkturalnych.

W związku z tem dowiadujemy się jeszcze, że zakłady Scheiblera i Grohmana zamierzają zlikwidować całkowicie drugą zmianę i w ten sposób na bruku znajdzie się około 2,000 robotników, którzy powiększą armię bezrobotnych w Łodzi.

28 groszy tygodniowo.

I takiej nawet należytości nie płaci się w Łodzi.

Pobory dozorczy domu nr. 22 przy ulicy Nowocegielnej, należące do znanego w Łodzi kamienicznika Gostyńskiego, wynoszą 28 groszy tygodniowo, jako równowartość dawno kiedyś ustalonych 500 tysięcy marek. Naturalnie, że pobierając takie uposażenie, dozorca Franciszek Perdas musi zarabiać na mieście jako tragarz, zwłaszcza, że ma do wyżywienia rodzinę, składającą się z pięciu osób.

Właściciel tej dużej czteropiętrowej kamienicy miał dla dozorczy

zawsze jedną odpowiedź na wszelkie jego żądania: „Jeżeli wam się nie podoba, to wyprowadźcie się, bo ja dolożę wam nic nie mogę”.

Od pewnego jednak czasu p. Gostyński, widząc, że przy 28 groszach tygodniowo zarówno dozorca jak i jego rodzina jednak żyją i nie przenoszą się na cmentarz, przestał wogóle pobory te wypłacać, a w dodatku rozpoczął kampanję szykan, by zmusić Perdasę do wyprowadzenia się.

Taktyka ta datuje się od chwili,

gdy z okazji bardzo poważnego targu gospodarza z lokatorami, dozorca w policji złożył zeznanie, obciążające gospodarza.

Nic jednak nie pomogło, Perdas — nie mając nadziei otrzymania innego mieszkania — w dalszym ciągu pozostawał w suterenie i pełnił swe obowiązki.

Chcąc się go ostatecznie pozbyć p. Gostyński sprowadził sobie ze wsi kandydata na dozorcę, podobno jakiegoś swego powinowatego, właściciela kilkunastomorgowego gospodarstwa, i własnoręcznie przystąpił do eksmitowania Perdasę, wtorek w piątek do jego komórki i wyrzucając znajdujący się tam ubogi inwentarz.

Zamierzenia swego nie doprowadził jednak do skutku, gdyż za dozorcę ujęli się lokatorzy, tembardziej, że w czasie tej bezprawnej i brutalnej eksmisji schorowana żona dozorczy dostała silnego ataku epileptycznego, tak że interweniować musiało pogotowie ratunkowe.

Na razie sprawa zakończyła się w ten sposób, że Perdas pozostał na swym stanowisku, nowy kandydat na dozorcę w Łodzi odjechał z powrotem do swego gospodarstwa, a p. Gostyński czeka na drugą sposobność, by usunąć Perdasę i jego rodzinę.

Niefortunny Romeo.

Julja otrzyma prawdopodobnie dymisję.

Łodzianin p. K. wyjechał w tym roku na kurację aż do Karlsbadu, pozostawiając w Łodzi w roli słomianej wdówki młodą swą małżonkę.

Pani Stefa nie nudziła się w Łodzi, czego dowodem był anonim, nadesłany z Łodzi do Karlsbadu pod adresem męża, oskarżający ją o wcale nieplatoniczny flirt z jakimś „smarkaczem”.

Anonimu tego, nawet przy zastosowaniu silnych dawek wody karlsbadzkiej nie mógł strawić p. K. i pewnego dnia niespodzianie zjechał do Łodzi udając się w nocy ze stacji prosto do swego mieszkania przy ul. Wólczańskiej.

Sięgając ręką do dzwonka, ku swemu zdziwieniu i przerażeniu spostrzegł jakiegoś mężczyznę, wychodzącego na ulicę, przez okno

W dotychczasowym trybie.

Ma być pobrany podatek od uposażeń służbowych.

Na zasadzie art. 12 ustawy z dn. 10 stycznia 1924 r., w przedmiocie przepisów o państwowym podatku dochodowym, obowiązujących na całym obszarze Rzeczypospolitej (Dz. U. R. P. nr. 13 poz. 110), oraz na zasadzie rozporządzenia prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 12 kwietnia 1924 r. o podniesieniu stawek podatku dochodowego od dochodu z uposażeń służbowych i wynagrodzeń za najemną pracę (Dz. U. R. P. nr. 34 poz. 350) ministerstwo skarbu zarządza, aby pobór podatku dochodowego od uposażeń służbowych, emerytur i wynagrodzeń za najemną pracę na obszarze b. dzielnic rosyjskiej i austriackiej był w miesiącu sierpniu 1924 r. dokonywany w dotychczasowym trybie, według skali ustalonej dla potrąceń podatku w miesiącu maju 1924 r. okólnikiem nr. 1 L. Dep. Pod. Opł. 489-II-24, a ogłoszonej w n-rze 96 Monitora Polskiego z dnia 25 kwietnia 1924 r. pozycja 267.

Świetny dochód podczas stagnacji...

Trzeba grać w „dziewiątkę”, ale z nę mieć przy sobie.

Jest to prawda stara jak świat, że w momencie braku, niedostatku i nędzy rodzą się najrozmaodsze pomysły. Mądrość narodów, zakleta w przysłowia sformułowała to:

„Bieda jest matką wynalazków”
„Zawiali nasi ojcowie, a pan Gustaw S. musiał chyba dojść do całkowitego zrozumienia tej prawdy — bowiem wcielił ją w czyn...”

Przeżywany obecnie kryzys jest rzeczywiście uciążliwy już do tego stopnia, że wielu poczynając desperować, omal nie rozpaczają — niema często skąd grosza wziąć, by dać żonie na opędzenie najniebezpieczniejszych wydatków domowych.

Najboleśniej odczuwa to Łódź. Pograżona w manufakturze i w przeważnej swej, lwiej części z tej „branży” żyjąca jest w położeniu niezwykle rozpaczliwym. Nie lepiej też wcale wiedzie się dość jeszcze przed pół-rokiem zamkniętym posiadaczom dwudziestu warsztatów, klekoczących „na własny rachunek”, ale tak już od marca milczących, jakby byli tylko cieniem samych siebie.

Pan Gustaw S., zamieszkały przy ul. „eh! nie powiem, bo nie o to proszono (a choć jestem dziennikarzem, to jednak dyskretna nie jest mi obca) posiada więc jak się rzekło dwadzieścia milczących warsztatów, trzydziestoletnią małżonkę, sześciolletnią córeczkę i... nieźle rozwinięty pociąg do kart. Szczególnie zaś uwielbia „baczka”.

ten importowany z Francji „chemin de fer”, a z Rosji „dziewiątkę” specjalnie łasi się namietnością pana Gustawa S.

Za dobrych czasów koniunktury, spadku marki i nieustającego paska pan Guccio lubił sobie posiedzieć do rana przy zielonym stoliku w towarzystwie sympatycznych przyjaciół — nie pozbył się jednak swej namietności i w ciężkich czasach obecnych.

Zebrań „na baczkę” odbywały się dwa — trzy razy w tygodniu u tego lub owego ze znajomych, a fama rozprowadzana u Guccioskiego przez towarzyszącego p. Gustawa zgodnie twierdziła, że „gra on niezwykle „pechowo”.

Pech ten prześladował p. Guccia stale, przegrywał większe nawet sumy.

Lato postawiło wielu z pośród znajomych pana Gustawa w położeniu słomianych wdowców, pan S. zaś z żoną pozostał w mieście, motywując niewysłanie rodziny na wieś tarapatami pieniężnymi. Na grę jakoś jednak gotówka była, a rzecz prosta, że słomiani wdowcy często sobie wieczorynki karciane urządzali i to

w mieszkaniu państwa S.
Od tej jednak chwili koleśki p. S. opowiadać poczęli cuda o szczęściu, jakie go w grze nie opuszcza. „Niema na niego sposobu” — mawiano — „dociągasz do ósemki — on ma dziewiątkę; masz dziewięć — to możesz już prawie być pewnym, że i on otworzy nie mniej — psiaakrew!” — dodawał siarczyście niejednen.

Na wieczorach u p. S. małżonka jego stale asystowała, „kibicując” swemu mężowi, to znaczy siedząc prawie bez przerwy za nim. Towarzystwo przemilej kobietki nikogo nie raziło — przeciwnie — panowie bawili się w jej towarzystwie wybornie. Zabawa jednak stawała się nieco „gorsza” — od chwili, gdy kieszenie gości poczynęły pustoszeć, a stos nowiutkich banknotów złotych przed panem Gustawem rósł w zwykły — nierzadko nakrywając swą głowicę jednym lub dwoma

„protestami”, zaofiarowaniem przez bardziej zgranych.

Po takim wieczorze państwo S. serdecznie żegnali swych gości, nieskończoną ilość razy wyrażając swe ubolewanie z tak przykrych rezultatów „baka”.

Onejdaj jednak (w niedzielę wieczorem) stała się rzecz okropna — przez gościnnych gospodarzy napewno nieoczekiwana.

Jak zwykle zeszli się panowie, rozpoczęto grę, pan S. po ustawieniu smacznego poczęstunku usia-

dła obok męża (nieco z tyłu). Pan Gustaw przez dobrą godzinę, a może i dłużej przegrywał, nastrój stawał się coraz weselszy, oprócz gospodarza i znanego przemysłowca pana H. G. wszyscy byli wygranymi.

Od pewnej jednak chwili karta się odmieniła, gospodarzowi poczęło „iść” niebywale, wygrywał raz po razie. Rozbił wreszcie 200-złotowy bank pana R. T.!!

Pobity „bankier”, silnie zdenerwowany, sięgnął po papierosa, o ogień jednak poprosił siedzącego o dwa miejsca dalej współgrającego. Wychyliwszy się jednak w celu zapalenia papierosa krzyknął przeraźliwie i z wściekłością rzucił się ku pani S. W chwili gdy zapalał papierosa, spostrzegł rzecz straszną: pani S., wyjąwszy z pod trzymanej na kolanach podręcznej torebki jakąś kartę, podała ją mężowi!!!

Konsternacja, a po niej wściekłość tak bezczelnie „ogranego” towarzystwa łatwo sobie wyobrazić. Pana Gustawa chciało wprost „złoty” posyłały się dwa siarczyście policzki splasowane z obu stron jego oblicza. Pani Gustawa zemdlała. Ktoś wołał policję...

Wkrótce jednak zrozumiano, że rzecz może stać się bardzo przykra dla obu stron. Państwo S. ze łzami w oczach na kolanach błagali o przebaczenie, obiecując zwrot pieniędzy i... całkowitą abstynencję od gry.

Jakoś się pogodzono, a tylko niedyskrekcji jednego z obecnych, który zarecując słowem autentyczność, opowiedział nam tę historję — zawdzięcza Łódź nowy przyczynek do charakterystyki swych mieszkańców.

P. K. O. nie lubi bonów złotych.

Z chwilą zlikwidowania P. K. K. P. ministerstwo skarbu ogłosiło, że bony złote, płatne w grudniu b. r. można realizować do wysokości 100 złotych jednorazowo w kasach P.K.O., przyczem instytucja ta skupoje te bony po kursie franka szwajcarskiego z odpowiednim potrąceniem procentów do grudnia, względnie po kursie giełdowym. Tymczasem z wielu stron otrzymujemy skargi publiczności, że

P.K.O. odmawia przyjmowania bonów do realizacji. Czynią to zwłaszcza prowincjonalne oddziały tej instytucji.

Ponieważ zniechęcanie publiczności do wszelkich papierów państwowych przez tego rodzaju szykanę nie leży w interesie rządu, pożądanem byłoby, by sprawa realizacji bonów złotych raz wreszcie była należycie wyjaśniona.

Kryminalistyka i wypadki

Na Czerniakowskiej... jest sporo sifców.

W dniu wczorajszym, w własnym mieszkaniu przy ulicy Ogrodowej 46 pobita została dotkliwie przez własnych gości 23-letnia Helena Czerniakowska tak, że okazała się potrzebna wezwania pogotowia ratunkowego. Opatrzywszy guzy na Czerniakowskiej, lekarz pogotowia pozostawił ją na miejscu przy Ogrodowej.

Uszkodzona krata.

W czasie bójki przy ulicy Janiny, wywołanej przez podchmielonych awanturników pobity został do krwi, stojący przed domem nr. 7 Adam Krata, robotnik. Pobitym Krata zaopiekowało się pogotowie ratunkowe, bandażując go w lokalu 4-go komisariatu.

Niebezpieczny szofer.

Jakiś samochód, pędzący z nadmierną szybkością przez ulicę Konstantynowską, najechał na Leonarda Kelnera, robotnika 46-letniego, który odniósł szereg dotkliwych i niebezpiecznych potłuczeń.

Poszwankowanym zajęło się pogotowie ratunkowe, przewożąc go do zbiorni miejskiej, a szoferem zajęła się policja, kierując jego sprawę do sądu pokoju.

Kradzież w pociągu.

(b) Między Krakowem a Łodzią, podczas jazdy skradziono Henrykowi Kierskiemu 2 portfele z dokumentami i 150 złotych.

Pobita prostytutka.

(p) Julia Romańska, lat 23. bez zajęcia, według oświadczenia policjanta — prostytutka, zam. przy ul. Marysińskiej nr. 24, została dotkliwie pobita przez swoich adoratorów. Pierwszej pomocy udzielił jej lekarz pogotowia.

Zbrodnicze praktyki.

(p) Przed sześcioma tygodniami zmarła Janina Bajer, żona kolonisty ze Strykowa. Okoliczności, towarzyszące temu wypadkowi, wzbudziły podejrzenie, że śmierć nastąpiła wskutek dokonania na zmarłej przez akuszerkę Rękawiecką niedozwolonej operacji spękania płodu. Na żądanie rodziny, dr. Lewi, w asystencji sędziego śledczego dokonał oględzin zwłok które w zupełności potwierdziły podejrzenie. Akuszerka Rękawiecka zbiegła w niewiadomym kierunku. Dodać należy, że wspomniana akuszerka była za czasów okupacyjnych za podobną zbrodnię skazana na półtora roku więzienia.

Fatalny upadek.

(p) Jan Łabędzki, lat 45, zam. przy ul. Kopernika nr. 19, upadł na ulicy Wschodniej nr. 67, przyczem otrzymał ranę tłuczoną głowy.

Pomocy udzielił mu lekarz pogotowia.

Poród na ulicy.

(p) Julia Walczak, zamieszkała przy ul. Lipowej nr. 58, dostała bólów porodowych. Pogotowie ratunkowe odwoziło ją do przytulku położniczego, przy ulicy Narutowicza nr. 60.

Nagle zasłabnięcia.

(p) Bolesław Izdebski, lat 28, technik dentystyczny, zam. przy ul. 6-go Sierpnia 14, zasłabł nagle w mieszkaniu własnym.

Pomocy udzielił mu lekarz pogotowia.

(p) Marianna Gładkowska, lat 58, żona dozorczy, zam. przy ul. Marysińskiej 25, nagle zachorowała.

Pomocy udzielił jej lekarz pogotowia.

(p) Monika Romańska, lat 35, żona funkcjonariusza policji, zam. przy ul. Gdańskiej nr. 59, nagle zasłabła.

Pomocy udzielił jej lekarz pogotowia.

Zagadka narodzin Gabryela d'Annunzio.

Urodził się na lądzie stałym i nazywa się na prawdę d'Annunzio.

Krytyk włoski, p. G. M. Pasquaris wydał w nakładzie „Modernissima” w Medjolanie studjum, poświęcone Gabrielowi d'Annunzio, w którym między innymi obala wszystkie dotychczasowe legendy, dotyczące pochodzenia i narodzin poety. P. Pasquaris przytacza oficjalny dokument aktu przyjęcia na świat Gabryela d'Annunzio w Pescezarze jako najzupełniej prawego syna 25-letniego właściciela dóbr ziemskich. Francescopaolo d'Annunzio, oraz jego małżonki Luisetty de Benedictis. Legenda o nazwisku Rapagnetta, skąd nawet wyciągnięto wniosek o pochodzeniu d'Annunzia z rodziny Rappaportów z Galicji, powstała dzięki temu, że niemowlę zaprezentowane było urzędnikowi stanu cywilnego p. Silla Marinis przez niejakiego Don Camillo Rapagnetta w imieniu ojca, który stawić się nie mógł. Legenda o przyjęciu na świat na statku, czy też na łódce na falach Adriatyku puszczona była w kurs już później przez samego d'Annunzia, lecz następnie przez niego samego także zaprzeczona.

Ojciec d'Annunzia, człowiek bardzo zamożny i deputowany do par-

lamentu, wydał własnym nakładem i sam zajął się reklamą pierwszej książki swego syna „Primo vera”, podpisanej pseudonimem Floro. Gabryel przyszedł na świat w piątek w miesiącu marcu, co jest uważane we Włoszech za oznakę szczególnej łaski losu i zapowiedzi świetnej przyszłości. Pierwsze słowa, jakie jego matka, po szczęśliwym rozwiązaniu, całując swe nowonarodzone dziecko, wypowiedziała, brzmiały: „Piątek i marzec urodziły się; kto wie, mój synu, jak wielkie rzeczy może światu przynieść”. Matka Gabryela d'Annunzio, zawsze przez swego syna ze szczególną tklivością uwielbianą, doczekała się zresztą jeszcze wielkich dni szczęśliwie predestynowanego dziecka. Umarła w maju roku 1915, w tem samym właśnie czasie gdy Gabryel d'Annunzio, po swej głośnej mowie na Quarto anonsującej wojnę włoską, czczony jako narodowy bohater, udawał się do Rzymu, aby tam dokonać dzieła ostatecznie decydującego o interwencji Włoch. — obalenia neutralistycznego rządu Giolittiego.

Aptekarz aptekarza chciał wysadzić w powietrze.

Przed sądem w Clermont - Ferrand stanął aptekarz, oskarżony o zbrodniczy zamach na swego konkurenta.

W lutym b. r. mieszkańcy małego miasteczka francuskiego Saint-Nectaire obudzili o północy hałas detonacji: to apteka p. Anteroche wyleciała w powietrze. Na szczęście mieszkańcy domu uszli z życiem; gwałtowny pożar zniszczył jednak aptekę.

Już w parę minut po wybuchu zauważono na śniegu ślady stóp, idące w kierunku drugiej apteki miejscowej, należącej do niejakiego pana Belonie. Co więcej, okazało się, że zbrodnicza reka wywierciła w murze apteki dziurę i

za pomocą sprzeczki wlała do wnętrza sporą ilość materiałów wybuchowych, oraz nafty.

Zandarmeria zwróciła więc uwagę na aptekarza Belonie, który niejednokrotnie skarżył się na konkurencyjną firmę Anteroche'a.

Wkrótce wyszło na jaw, że mściwy aptekarz w sąsiednim miasteczku kupował na dwa dni przed zamachem wielkie knoty, których wymiar zgadzał się z wywierconym w murze aptecznym otworem.

W śledztwie oskarżony tłumaczył się, że zamach wymyślony i zaaranżowany został przez złośliwego kolegę, który w ten sposób chce się go pozbyć.

Wynalazca promieni śmierci oslepił.

Słynny dziś wynalazca promieni śmierci Grindell-Matthews, oświadczył dziennikarzom amerykańskim, że czuje się zupełnie wy-

cierpany. Jego promienie śmierci pozbawiły go już jednego oka, a wkrótce zapewne straci i drugie.

Ekscentryczny pomysł arystokraty francuskiego.

Deklamacja w klatce lwów.

Hrabia Boni di Castellane, bardzo bogaty arystokrata, znany jest w Paryżu ze swego zamiłowania do rzeczy nadzwyczajnych i ekscentrycznych. Przed kilkoma tygodniami wprowadził on w zdumienie swoich przyjaciół i znajomych urzędzeniem przedstawienia, jakie go jeszcze na wieczorach towarzyskich nigdy nie widziano. Ponieważ chciał połączyć ekscentryczne z pożytecznym, przeto za bilet wstępu wyznaczył cenę 1.000 franków. Paryska bowiem rada miejska po śmierci Sary Bernhardt postanowiła, celem uczczenia pamięci niezapomnianej tragiczki ufundować wielką kolonję, w której niezdolni już do pracy aktorzy i aktorki, znajdowaliby mogli na starość przytułek.

W Paryżu zebrano już na ten cel wiele milionów franków, a hr. Castellane pragnął ten fundusz powiększyć. Rzeczywiście przewyższyła wszelkie jego oczekiwania. Za kartę wstępu, kosztującą 1.000 franków, niektórzy płacili po 10.000 i 15.000 franków. Rzecz oczywista, że za tak wysokie opłaty hr. Castellane musiał urządzić coś nadzwyczajnego. To też hrabia łamał sobie głowę nad tem, co by tu urządzić, gdy właśnie zgłosiła się doń młoda baronówna z równie oryginalnym, jak i śmiałym projektem. Oświadczyła gotowość wyrecytowania utworu Jana Richepina, p. t. „Salut aux Lions” (Pozdrowienie lwów) w klatce ze lwami.

Hrabia był zachwycony odwagą młodej damy i był przekonany, że jej występ stanowić będzie clou wieczoru.

Nie zwlekając więc długo, hrabia wynajął od właściciela menażerii 12 lwów i 2-ch pogromców zwierząt. Odbyła się próba generalna, która wypadła doskonale. — Aż oto nadszedł wielki dzień.

W pałacu hrabiego zjawili się przeszło 2.000 gości.

Cała śmietanka Paryża przyjęła zaproszenia. Uświetnili ten wieczór prawie wszyscy członkowie ciała dyplomatycznego, liczna szlachta i arystokracja finansowa, wielu wybitnych polityków, wielu aktorów i aktorek.

Na estradzie ustawiona była olbrzymia klatka z 12 lwami, zasłonięta jedwabną kurtyną. Pun-

ktualnie o godzinie 12 w nocy kurtyna poszła w górę. W sali nastąpiła głęboka cisza, gdy

młoda i piękna baronówna, ubrana w bardzo dekoltowany kostium — była przebrana za Wenus — weszła do klatki.

Wśród zwierząt spacerowali dwaj pogromcy z rewolwerami i straszliwymi batami w rękach.

Lwy przyjęły baronównę z miśszanem uczuciami. Niektóre z pośród nich leżały nieruchomo, inne zaś powstały i zaczęły ryczeć. Goście pobledli, kilka pań dostało spazmów i trzeba było z sali wynieść. Każdy z gości oczekiwał z gorączkową niecierpliwością końca produkcji.

Po wygłoszeniu utworu lwy zaczęły ryczeć, pogromcy ich dali kilka strzałów w powietrze na postrach, a

baronówna cała i zdrowo, wśród huraganowych oklasków gości, opuściła klatkę.

Stary Jan Richepin, autor utworu, wzruszony niezmiernie, ucałował jej rękę.

Leczenie chorób umysłowych zapomocą zabiegów chirurgicznych.

Ameryka posiada przywilej na dostarczanie sensacyjnych wiadomości nie tylko z dziedziny kryminalistyki, ale także i z dziedziny naukowej. Obecnie np. donoszą z N. Jorku, że w kilku szpitalach amerykańskich podjęto zabiegi chirurgiczne celem leczenia chorób umysłowych i że dały one wyborne wyniki.

Lekarzy amerykańskich skierował na tę drogę fakt, zauważony w szpitalu dla umysłowo chorych w mieście Trenton. Stwierdzili tam miano niebicie, iż wielu chorych, po dokonaniu u nich operacji dentystrycznych, lub po wyłączeniu migdałów, stawało się ludźmi normalnymi.

Przypadkowe to odkrycie poparło hipotezę, mającą coraz więcej zwolenników w amerykańskim świecie lekarskim, że choroby umysłowe są w znacznej ilości przypadków następstwem zatrucia mózgu, mającego swe źródło w lokalnej infekcji danego organizmu. W jednym z amerykańskich zakładów dla umysłowo chorych

Tam gdzie są nogi, tam jest... ojczyzna.

Przed kilkoma dniami znaleziono zwłoki nieznanego człowieka ściśle na linii granicznej, oddzielającej Norwegię od Szwecji. Oględzin zwłok dokonali urzędnicy obustronnej policji granicznej. O-tóż nie mogli oni się pogodzić do tego, w którym kraju nieboszczyk ten ma być pochowany, oraz kto ma ponosić koszt pogrzebu, Szwecja, czy Norwegia?

Wobec tej kwestji spornej, sprowadzono z poblizszo wyższego urzędnika norweskiego do rozstrzygnięcia sporu. Urzędnik ów stwierdził, że głowa nieboszczyka znajdowała się w Norwegji, nogami zaś spoczywał w Szwecji. Urzędnik przypomniał sobie wówczas cytate z Arystofanesa, która brzmi: „Ubi bene ibi patria”, poczem wydał korzystny dla Norwegji wyrok:

„Tam, gdzie są nogi, tam jest ojczyzna”...

Nieboszczyk istotnie został pochowany w Szwecji i na koszt Szwecji.

stwierdzono, że od czasu, gdy wprowadzono tam diagnozę za-truciu przy badaniu chorych, zostaje wyleczonych 80 proc. pacjentów, przedtem zaś procent wyleczonych wynosił tylko 38.

W stanie New Jersey rozpoczęto już budowę, kosztem 3 milionów dolarów, zakładu dla umysłowo chorych, gdzie będą leczeni nową metodą, polegającą w pierwiastkowym stadium na badaniach fizykalnych i bakteriologicznych, które pozwolą na ustalenie przyczyny ich chorób. Następnie zaś będą chorzy podlegali pilnej obserwacji celem zastosowania względem nich odpowiedniego sposobu leczenia.

Amerykańscy lekarze spodziewają się dużo dobrego po nowych sposobach leczenia chorób umysłowych, co jest dla Stanów Zjednoczonych sprawą pierwszorzędnej wagi. Gdy bowiem w ciągu ostatnich 45 lat podnosiła się ich ludność — to liczba chorych umysłowo w tym kraju powiększyła się więcej, niż w czwórnasób.

CHARLES DICKENS.

HORATIO SPARKINS.

(Dalszy ciąg).

— Czy to jest jego światłość Augustus — szepnęła miss Malderton do Flamwella, który ofiarował jej swoje ramię i przeprowadził ją do sali jadalnej.

— Hm, nie, a właściwie nie tak zupełnie — odpowiedział tonem Pytii — nie tak w zupełności...

— Ale któż to w takim razie może być?

— Pst — powiedział Flamwell z tajemniczym kiwnięciem głowy, które oznaczało wyraźnie, że rzecz jest dla niego zupełnie jasna i tylko ważne okoliczności zamykają mu usta.

Kto wie, nieznajomy był może członkiem ministerstwa, który chciał się obznać z nastrojami ludności. Któż wie?

— Mr. Sparkinsie — rzekła rozświetlona i rozanielona mr. Malderton — czy nie zechciałby pan zająć miejsca między dziewczętami? — John proszę dać krzesło dla pana.

John, który w miarę potrzeby reprezentował wszystkie rodzaje służby i był naprzemian stajennym, ogrodnikiem i stangretem, obecnie przybrany w białe niciane rękawiczki, nieco za duże i w stare trzewiki mr. Maldertona, godnie pełnił obowiązki lokaja i czynił wszystko co leżało w jego siłach, by przysporzyć splendoru domowi Maldertonów w oczach Sparkinsa. Obiad był wyszukany i wytworny. Horatio zabawił Teresę z zapa-

łem godnym lepszej sprawy, a całe towarzystwo było w najwyższym stopniu rozbawione i zainteresowane. Tylko biedny mr. Malderton, który dokładnie znał swego szwagra, drżał ze strachu i naprzemian oblewał go zimny i gorący pot na myśl z jakimi uwagami ten mógłby wystąpić.

— Czy widziałeś w ostatnich czasach twego przyjaciela, Thomasa Wolanda? — zapytał mr. Malderton swego przyjaciela Flamwella, zerkając przytem na Horatia i śledząc jakie na nim uczyni wrażenie wymienione nazwisko.

— Hm, nie, w ostatnich czasach nie widziałem go, ale w tym tygodniu spotkałem jego wielmożność lorda Subbletona.

— Mam nadzieję, że jego wielmożność cieszy się dobrym zdrowiem? — kontynuował rozmowę mr. Malderton tonem tak pełnym zainteresowania, że nawet nie trzeba zaznaczać, że do obecnej chwili nie miał najlżejszego pojęcia o istnieniu tej jasnie wielmożności.

— O tak, lord, dzięki Bogu, czuje się bardzo dobrze. Jakież to miły i sympatyczny człowiek! Spotkałem go w City i w ciągu trzech kwadransów stałem z nim i rozmawiałem na ulicy. Jestem z nim na bardzo poufalej stopie i bardzo załowałem, że nie mogłem rozmawiać z nim dłużej ale się spieszyłem, gdyż szedłem właśnie do jednego bankiera, bardzo bogatego człowieka i członka parlamentu, z którym również łączą mnie najbardziej przyjacielskie stosunki.

— Ah, wiem, o kim mówisz — dorzucił Malderton, który akurat tyle wiedział co i sam Flamwell.

— Bankier ten czyni doskonale rozległe i korzystne transakcje.

Ale w tem miejscu został poruszony niebezpieczny temat.

— Gdy mowa o interesach — wtrącił Bartou — przypomniatam sobie, że niedawno był u mnie w sklepie kupiec, z którym się często spotykałeś, zanim się tak zbogaciłeś i...

— Bartou, czy nie zechciałbyś mi przysunąć kartofli? — przerwał mu nieszcześliwy gospodarz, który miał nadzieję, że uda mu się zatrzymać potok wymowy szwagra.

— Z przyjemnością — odrzekł sklepikarz, nawet nie podejrzewając intencji mr. Maldertona — i ciągnął dalej — i bardzo życzliwie....

Mr. Malderton przerwał mu po raz wtóry, gdyż bał się dalszego ciągu opowiadania, a przedewszystkiem tego słowa „sklep”.

— I pytał bardzo życzliwie — ciągnął dalej nieswiadomy rzeczy i nieublagany Bartou — jak mi się powodzi? Odpowiedziałem mu, żartując, że dbam o mój sklep i mam nadzieję, że mój sklep mi się za to odwdzięcza. Ha, ha, ha!

— Mr. Sparkins — wtrącił Malderton, który nadaremnie starał się ukryć zmieszanie — czy mogę służyć winem?

— Z największą przyjemnością, sir.

— Niezmiernie mi przyjemnie, że widzę pana w murach mego domu — patetycznie zadeklamo-

wał gospodarz.

— Jest mi również niezmiernie przyjemnie przebywać w tak miłym gronie...

— Mówiliśmy przed paru dniami — rozpoczął gospodarz, chcąc

zarówno pochwalić się przed obecnymi piękną wymową swego nowego znajomego, jak i na czas p-wien chciałby zamknąć swemu szwagrowi drogę do odezwania się — mówiliśmy o naturze ludzkiej. Pańskie poglądy wydały mi się nowymi i prawdziwymi.

— Mnie również — odrzekła mrs. Malderton, której Horatio skłonił się wdzięcznym ruchem głowy.

— Jakie są pańskie poglądy na kobiety? — podjęła mrs. Malderton, zachęcona postawą Horatia.

Teresa i Marja z niewiadomej przyczyny oblały się rumieńcem wstydu, nieśmiało się uśmiechając spuściły oczy.

— Człowiek — odrzekł Horatio, marszcząc czoło i ścigając brwi — człowiek, któryby zamieszkiwał jasne, kwietne łaki nowego raj, lub puste, bezpłodne, i jeśli mi się tak wyrazić wolno, powszednie szare stępy, do których w tak fatalnych jak dzisiejsze czasach musimy się przyzwyczaić, powtarzam człowiek, i to we wszelkich warunkach i w każdej okolicy, pędząc mczolny żywot pomiędzy polami lodowemi zimnej strefy, a żarzącymi, prostopadłemi promieniami słońca równika, człowiek ten byłby bez kobiety sam... opuszczony...

— Bardzo jestem szczęśliwa mr. Horatio, że posiada pan tak szlachetne poglądy — zauważyła mrs. Malderton.

— Ja również — wtrąciła miss Teresa.

Horatio rzucił spojrzenie tak wniebowzięte i wdzięczne, że Teresa zaczerwieniwszy się, stała się podobna do rozkwitłej piwonji.

— A moje poglądy są... — wtrącił Bartou.

— Ja wiem, co ty chcesz powiedzieć — przerwał mu Malderton ze stanowczym zamiarem niedopuszczenia swego szwagra go słowa — i w żadnym razie nie podzielam twych poglądów....

— Ale dla czego? — zapytał zdumiony Bartou.

— Bardzo mi jest przykro, ale jestem w tej kwestji zupełnie innego zdania — odrzekł Malderton tonem tak stanowczym, jakby zbijał naprawdę jakieś twierdzenie przeciwnika — ale nie mogę się zgodzić z poglądami, które są wprost przeciwne moim...

— Ależ ja chciałem tylko zaznaczyć...

— Ty mnie nigdy nie przekonaś — odrzekł Malderton z uporczywą pewnością — nigdy!

— A ja w żaden sposób nie mogę podzielać zdania mr. Horatia — rozpoczął zapalczywie mr. Flamwell, chcąc przyjść gospodarzowi z pomocą.

— Dlaczego? — odrzekł Horatio, który czując z jakim zachwytem słuchały go damy, zaczął być wymowny i metafizyczny — czyż skutek nie wynika z powodu, czy nie jest on wynikiem przyczyny?

— To jest właśnie pytanie — zaczął się zastanawiać Flamwell.

— Tak jest — dorzucił mr. Malderton.

— Jeżeli skutek wynika z przyczyny i przyczyna poprzedza skutek, to pan w żadnym razie nie ma racji — ciągnął rzecz dalej Horatio

— To nie jest racja — odrzekł Flamwell.

(dok. nast.).